

# Stefan Morawski

---

## "Wiedza o kulturze literackiej : główne pojęcia", Stefan Żółkiewski, Warszawa 1980 : [recenzja]

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 72/2, 304-316

---

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

Stefan Żółkiewski, WIEDZA O KULTURZE LITERACKIEJ. GŁÓWNE POJĘCIA. Warszawa 1980. „Wiedza Powszechna”, ss. 308. „Biblioteka Wiedzy Współczesnej »Omega«” pod patronatem Polskiej Akademii Nauk. [Tom] 354. Rada Programowa: Przewodniczący: Jan Szczepański. Wiceprzewodniczący: Szczepan Pieniżek. Członkowie: Czesław Hernas, Janusz L. Jakubowski, Tadeusz Kiełanowski, Krzysztof Majka, Włodzimierz Michajłow, Jan Michejda, Janusz Zakrzewski. Sekretarz Rady: Krzysztof Rajewski. (Z prac Instytutu Badań Literackich PAN. Opracowanie w ramach planu tematycznego problemu węzłowego 11.11. „Polska kultura narodowa”).

1. Podziwu godna jest konsekwencja badawcza Stefana Żółkiewskiego. W książce najnowszej, *Wiedza o kulturze literackiej*, wyłożył on w sposób syntetyczny to, o czym pisał od lat z górą dziesięciu. Dla czytelników jego *Kultury literackiej* (1918—1932) oraz znacznie późniejszego zbioru szkiców pt. *Kultura — socjologia — semiotyka literacka* (1979) tezy zawarte w omawianej tu pracy, a także zasady i procedury jego podstawowych wywodów będą czymś znajomym. Jednakże nigdy dotąd autor nie podjął próby tak systematycznego wykładu własnej koncepcji. Niechaj nie myli nas okładka „Omegi”. Żółkiewski pisze dla szerokiego odbiorcy, ale zgodnie ze swym temperamentem naukowym i właściwą mu stylistyką podejmuje arcytrudną, teoretyczną problematykę. Słowem, ani czytelnikowi, ani sobie nie ułatwia roboty. Wręcz przeciwnie, atakuje dużą liczbę zagadnień, wojuje z poglądami mocno osadzonymi w naszym i obcym literaturoznawstwie.

Konsekwencję badawczą autora można prześledzić cofając się do początków jego twórczości literaturoznawczej, zawsze skupionej na zagadnieniach teoretycznych, operującej materiałem historycznym jako układem odniesienia, weryfikującym założenia natury ogólniejszej, filozoficzno-społeczne czy filozoficzno-kulturowe. Od badań ukierunkowanych pod wpływem praskiej szkoły ku analizie struktur językowych i tychże związków z kontekstem społecznym przeszedł Żółkiewski, nie bez zgrzytów, do stanowiska marksistowskiego w jego wersji reprezentatywnej dla lat pięćdziesiątych. Potem z kolei ewoluował jego marksizm, stopniowo wyzbywając się dogmatycznej wiary w uniwersalną zasadność kategorii realizmu, aby od końca lat sześćdziesiątych wejść w ruchomą wciąż i wcale niełatwą symbiozę z koncepcją semiotyczno-strukturalistyczną. Wreszcie w ostatnim 10-leciu — zapewne w kręgu inspiracji raczej badań radzieckich (Bachtina przede wszystkim oraz szkoły w Tartu) niżli francuskich — wykrystalizowała się jego swoista, socjologiczno-kulturowa orientacja skonkretyzowana w analizach i interpretacji „życia literatury”. Nic zarazem z tego, co poprzednio on ogłosił, nie zostało przezeń zaprzepaszczone. Korygował jedynie swoje pomyłki, oczyszczał pole zainteresowań z kwestii, które wydawały mu się w fazach późniejszych bezprzedmiotowe albo mylnie sformułowane, odrzucał teorematy, które prowadziły, według jego dalszych przemyśleń, na manowce, ale w istocie rzeczy — wszystkie jego dotychczasowe drogi zbiegły się w jednym punkcie.

2. Gdyby na mapie współczesnej humanistyki, zwłaszcza zaś jej badań literaturoznawczych, szukać punktów wyznaczających marszruty Żółkiewskiego, trzeba by wskazać przede wszystkim (albo też wyłącznie): socjologię literatury, teorię semiotyczną skupioną na podstawach i regułach komunikacji oraz marksistowską filozofię społeczną.

Socjologia literatury wychodzi tutaj poza granice badań zmiennych układów funkcjonalno-recepcyjnych. Jaussovska „historia literatury jako prowokacja” zatrzymuje się na krawędzi między kulturą społeczną a życiem dzieł literackich z właściwym dla nich, ściśle wydzielonym obszarem. Nie wystarczy też dociekać, jak w ogóle funkcje literatury biorą górę i zachowują prymat przed „literackością” czy też „wizją twórczą”; rozstrzygająca jest bowiem w tej perspektywie naukowej

struktura komunikacyjna, jaka zachodzi między wytwórcą tekstów, ich odbiorcami oraz siecią pośredniczących mechanizmów.

Tu przechodzimy do teorii semiotycznej, która, według Żółkiewskiego, wyjaśnia najlepiej sposoby funkcjonowania procesów komunikacyjnych oraz wskazuje na ich fundamenty, ponieważ uwagę koncentruje na systemach znakowych, określonych tekstach, ich kodowaniu czy dekodowaniu. Systemy wszelako utrzymują się w ramach życia społecznego jako stabilne rezultaty przebiegów kulturowo-historycznych, które dopiero marksistowska koncepcja *praxis* (a ta obejmuje m. in. konflikty klasowe, ideologiczne nacechowania, dynamiczne źródła przeobrażeń) może najlepiej wytłumaczyć.

Podkreślmy od razu, że marksizm nie występuje tutaj jako zastana koncepcja estetyczna; wręcz przeciwnie, Żółkiewski z premedytacją wyrzeka się jej. Nie szuka w niej zresztą w ogóle antenatów dla swych rozwiązań, chociaż być może udałoby się coś niecoś wyłowić z socjologizujących rozważań Lafargue'a, Plechanowa czy Mehringa na temat różnorodnych recepcji dzieł literackich w odmiennych kontekstach klasowych czy zgoła narodowych. Myśl estetyczną Marksa oraz przede wszystkim teorię Lukácsa, bez wątpienia do Marksowskich pomysłów nawiązująca, traktuje już od lat kilkunastu jako propozycje anachroniczne, uderzając zbliżone do koncepcji hermeneutycznych. Z tymi zaś koncepcjami — wywodzącymi się od Diltheya — wojował Żółkiewski z pasją od początków swej drogi badawczej. Antypatie owe są i dzisiaj nadal tak silne, że krytyce symboliczno-ekspresyjnych ujęć utworu literackiego autor poświęcił sporo miejsca. Na s. 20—23 oraz 47—51 skondensowany atak uderza w paradygmaty Croce'ańskie oraz w jungizm, tzn. w interpretację znaczeń ufundowanych na przeżyciu jednostkowym (*vecu*). Interpretacje te mają prowadzić do notorycznych dowolności oraz wzmacniać opaczną autonomiczno-ergocentryczną orientację, ponieważ dzieło uznane za centralny układ przestrzeni literackiej zyskuje wsparcie i podstawę w określonym projekcie twórczym, tak a tak wyrażonym i zrealizowanym. Koncepcja własna Żółkiewskiego jest biegunowo odmienna, tzn. antyekspresyjna, antysymboliczna, antymimetyczna.

3. Spróbujmy ją bliżej scharakteryzować. Punktem wyjścia rozważań autora jest określona teoria kultury, której analizie poświęcona została jedna trzecia całej książki. Literaturoznawstwo bowiem — dowiadujemy się już od pierwszych stron — chroma po dzień dzisiejszy z racji wspomnianej orientacji ergocentrycznej, skupionej przede wszystkim czy też wyłącznie na samym dziele. Nawet tendencje biograficzne zmieniające akcent (przesunięcie punktu ciężkości na osobę twórcy) uparcie krążyły wokół danego *oeuvre*; nie inaczej było i jest z badaniami odnoszącymi się do tzw. wirtualnego odbiorcy, sterowanego wewnątrztekstowym zbiorem sygnałów, czy wreszcie z roztrząsaniem nad percepcją bądź nad czasowo i przestrzennie zróżnicowaną recepcją, skoro dla obu tych fenomenów nieprzekraczalnym układem odniesienia jest dany utwór z wpisaną weń symboliczną ekspresją, tak a tak zobiektywizowaną przy pomocy danych środków i chwytów formalnych.

Za owym — wewnątrz nie zróżnicowanym — literaturoznawstwem stoi, według Żółkiewskiego, nieprzekonywająca koncepcja kultury przeciwstawianej cywilizacji, tzn. kultury jako sfery znaków symbolicznych, nacechowanych indywidualnie, odczytywanych na zasadzie współprzeżywania, tak mglistych, że każda ich interpretacja z konieczności musi być uznana za równouprawnioną i równoważną.

W dyskusji z kulturologami, którzy tak mniemają, autor zajmuje stanowisko przeciwstawne. Jego zdaniem podstawą procesów kulturowych jest międzyosobnicza komunikacja, nie ma komunikatu, który by był wyzbyty znaczenia, o nim

zaś decydują określone reguły systemów znakowych i związane z nimi sposoby kodowania czy dekodowania tego, co zakomunikowane. Słowem, teoria kultury, jeśli ma być sprawdzalna, tzn. ufundowana na danych konwencjach społecznych, a zatem oczyszczona ze znaczeń arbitralnych oraz z samowolnych interpretacji, winna i musi być teorią semiotyczną. Takie też ma być dające się zweryfikować literaturoznawstwo. Zrywa ono z uporczywymi ciągotami ku autonomizacji przedmiotu badań i ku wyodrębnionemu dziełu oraz jego irradacji jako problematyce centralnej. Zajmuje się natomiast zdeterminowanymi społecznie procesami komunikacji zwanej literacką. Zmieniają się wówczas pytania i oczywiście odpowiedzi uzyskane w trakcie pracy badawczej.

Wiedza o kulturze literackiej — zgodnie z tytułem książki — zastępuje wiedzę o dziele, o jego charakterystykach, funkcjach, ewentualnie genezie. Badanie semiotyczne wypiera zarówno wgląd hermeneutyczny, jak i dociekania dotyczące ekspresyjno-mimetycznych osobliwości dzieł artystycznych. Przedmioty literackie to teksty — jedne spośród wielu funkcjonujących w danej kulturze. Teksty oczywiście językowe, ale bynajmniej nieredukowalne do systemów językopodobnych, gdyż analizy ich znaczeń niepodobna wyczerpać w ramach określonej artykulacji na poziomie cząstek dyskretnych ani też ich morfologii odnieść do opozycji binarnych. Każdy tekst literacki, jako przypadek realizacji danego systemu znakowego, może zresztą — współdziałając w strukturze wielotekstowej, bogatszej komunikacyjnie (i znaczeniowo), np. w utworze filmowym czy telewizyjnym albo też w dziele np. konceptualistycznym — być elementem układu wielosystemowego, który w sposób szczególnie wyrazisty odróżnia się od systemu opartego na językach naturalnych. Nie wystarczy zresztą — dodaje Żółkiewski — zamknąć analizy na funkcji semiotycznej, choćby wieloaspektowej i skomplikowanej. Wszystkim przedmiotom krążącym w obiegu społecznym przysługuje bowiem jeszcze funkcja rzeczowa. A więc i komunikatom literackim. W przypadku np. kostiumu wyróżnić ją oczywiście łatwiej niżli w przekazie literackim, ale i tutaj jest dostępna i uchwytna jako konkretna realizacja danej praktyki społeczno-kulturowej.

W granicach ogólnie pojętej *praxis*, charakterystycznej dla danej formacji historycznej (tak jak ją pojmował Marks), wydzielić można i należy poszczególne praktyki kulturowo-cywilizacyjne, tzn. uporządkowane wedle przyjętych tu oto zasad, działania w danej dziedzinie dóbr materialnych i duchowych. Owe „wzory zachowań”, m. in. literackich (czyli sposobów komunikacji znaczeń nadbudowanych na języku naturalnym) zmuszają z kolei, według Żółkiewskiego, do wydzielenia typu i stylu kultury. Typ związany jest wyposażeniem materialno-rzeczowym umożliwiającym m. in. taką a nie inną komunikację literacką, o stylu zaś decydują dane wybory i hierarchie wartości.

W obu tych zjawiskach uwyraźnia się z całą dobitnością — co autor podkreśla w sporze z koncepcją Alfreda L. Kroebera — historyczny aspekt każdego przedmiotu semiotycznego. Ostatecznie bowiem to właśnie szczególna praktyka społeczna (uzależniona od danej globalnej *praxis*) decyduje, jak kształtują się powtarzalne w danej epoce sytuacje komunikacyjne, jak poszczególne systemy semiotyczne krzyżują się ze sobą, wchodzą w osmozę albo rozdzielają się, jak ulegają modyfikacji czy zgoła przeobrażeniom usankcjonowane w użyciu kulturowym kody. Tekst spełnia zawsze i wyłącznie funkcję semiotyczną wewnątrz danej sytuacji komunikacyjnej, ale jakie grupy społeczne i w jakich celach posługują się nim, aby m. in. ustanawiać, co jest, a co nie jest „literaturą” (bądź co jest „lepszym”, a co „gorszym” komunikatem w tej dziedzinie), rozstrzyga historycznokulturowa praktyka. Nie można i nie wolno jej — tłumaczy Żółkiewski — odrywać od konfliktów klasowych i sporów ideologicznych, które kształtują

daną zbiorowość społeczną. W przypadku tekstów literackich (wielosystemowych, wielokodowych, wielopoziomowych) uzyskujemy całości znaczeniowe takiej złożoności, że modelują one świat ludzki wzięty *in toto*. Otóż tego rodzaju wtórne systemy modelujące muszą — jak powiada Żółkiewski — być ideologicznie aktywne, ale ani nie jest łatwo ową aktywność za każdym razem ujawniać, ani też nie wszystkie elementy danego tekstu, tzn. komunikatu literackiego, podtrzymują ową ideologiczną funkcję, ani w końcu niepodobna stwierdzić, że dany tekst — komunikat literacki — zachowuje jednoznaczność ideologiczną w ciągu swego zmiennego społecznego życia.

Wychodząc ze schematu komunikacji R. Escarpita i sprowadzając go do nadawcy, przedmiotu semiotycznego oraz odbiorcy w konkretnej sytuacji komunikacyjnej, Żółkiewski określa tedy kulturę literacką jako historycznie konkretną praktykę przekazywania przedmiotów semiotycznych, uznanych za literackie, przez nadawcę zbiorowego (obok bowiem realizatora przedmiotu występuje aparat dyfuzji oraz kontroli), określonym grupom odbiorczym, które używają owych przedmiotów zgodnie z przyjętymi regułami wyznaczającymi oczekiwaną sytuację komunikacyjną. Refleksje te (s. 74—82) prowadzą autora do pytania o wyróżniki komunikacji literackiej.

Z tych ogólnych przesłanek i założeń wynikają szczegółowe roztrząsania i zawarte w nich twierdzenia, które Żółkiewski wywodzi w trzech kolejnych rozdziałach: o nadawcy, o przedmiocie semiotycznym i jego funkcjach oraz o odbiorcy. Swoistość komunikacji literackiej wyznaczona jest — dowodzi tutaj autor (s. 99—104) — przez znamienny stosunek wzajemny funkcji: semiotycznej i rzeczowej. Praktyki społeczne generujące przedmiot semiotyczny uzależnione są bowiem od praktyk ideologicznych. Odwołując się do Francastela (do jego studium o XV-wiecznych florenckich świętach mitologicznych, będących w istocie manifestacjami politycznymi na rzecz Medyceuszów) Żółkiewski uwypukla partykularny charakter ówczesnej komunikacji literackiej ze względu na założony kontekst społeczno-polityczny. Nadawcą jest tutaj — jak zresztą zawsze — określona zbiorowość z przysługującymi jej cechami kulturowo-historycznymi, a te zawisłe są od określonej sytuacji komunikacyjnej. W jej ramach mieści się cenzura, instytucje zalecające czy zamawiające dany tekst, mechanizmy obiegu owego tekstu, jego materialny kształt (konkretna postać dokumentu, który trafia na rynek) *etc.*

Badacz-literaturoznawca tego typu, jakim go chce widzieć Żółkiewski, rozmyśla zatem nad tym, jakie bywają mecenyaty, jak sprawuje się społeczną kontrolę ideologicznych i technicznych środków umożliwiających komunikację literacką, jakie działają prawa rynku. Słowem, zagadnienie nadawcy w świetle postulowanej tutaj wiedzy to zagadnienie polityki kulturalnej, jej mocodawców i decydentów, programujących taki a nie inny model uczestnictwa czytelniczego oraz sprawdzających, czy dane repertuary i sposoby przekazywania określonych komunikatów (tekstów) odpowiadają narzuconemu *imprimatur*.

Wydawałoby się, że zniknął z pola widzenia sam realizator przekazu literackiego, tzn. pisarz. Nic podobnego. Bada się ze szczególną uwagą jego rolę społeczną — ściślej biorąc, komunikacyjną — jako pośrednika owych praktyk semiotyczno-rzeczowych, o których była mowa. Jeśli notuje się jego idiolektyczno-innowacyjne inicjatywy w zestawieniu z kanonicznymi rozwiązaniami, z szablonem praktyk komunikacyjnych i konwencjami semiotycznymi, to nie po to, aby się na owych indywidualnych modyfikacjach zatrzymać, lecz po to jedynie, aby dokładniej uchwycić i pojąć funkcję pisarską. O pisarstwie natomiast decyduje inny czynnik — czytająca publiczność (s. 126—127).<sup>6</sup> Wraz z nią zaś muszą być szczególnie wzięte pod uwagę ideologiczno-klasowe wyróżniki ustalające zmiany znaczeń funkcjonujących w danej kulturze oraz określające kontakt między nadawcą a odbiorcami.

Do czego służy literatura w danym konkretnym, społeczno-historycznym momencie? Jak rozumie się zawód literata? Jakie nastawienia i oczekiwania związane są z wykorzystywaniem owego zawodu? Oto jedne z głównych pytań, jakie zobowiązane jest postawić kulturocentryczne literaturoznawstwo, zwłaszcza kiedy bada się procesy profesjonalizacji w tej dziedzinie od w. XVIII i rozmyśla się nad wielorakimi rolami i zadaniami pisarskimi we współczesnych nam, społecznie spolaryzowanych i skłóconych wewnętrznie społeczeństwach. Słowem, zamiast osobowości twórczej zapośredniczonej w określonej strukturze treściowo-formalnej — bada się wytwórcę tekstów w układzie dlań nieodzownym, tzn. łącznie z typografem, księgarzem, aparatem rozpowszechniania i kontroli społecznej. Według Zółkiewskiego ta hipoteza, konkurencyjna wobec hipotezy zadomowionej w literaturoznawstwie, trafia w sedno rzeczy, gdyż zatrzymuje uwagę nad rzeczywistym procesem komunikacyjnym, tzn. nad wyborami i decyzjami wytwórcy tekstów, uzależnionymi wszelako od danej praktyki kulturowej, od jej historycznych, dokładniej formułując: ideologicznych współwyznaczników (s. 146—150). Hipoteza ta pozwala też trafniej zanalizować tzw. pamięć społeczną o danym dziele, zawisłą przecież od tego, w jakiej przestrzeni kulturowej i w siatce jakiej „estetyki” owo dzieło zostało wprawdzie usytuowane oraz ostatecznie z nią powiązane.

Dzieło literackie jako przedmiot wyposażony przede wszystkim w funkcje semiotyczne rozpatrywane jest z kolei w rozdziale 3 w świetle funkcji rzeczowych, aby jeszcze raz, od innej strony, wyakcentować wagę nadawcy zbiorowego. Funkcja rzeczowa bowiem — tłumaczy Zółkiewski — to dyfuzja treści semiotycznych. Jakie są środki upowszechniania literatury, to zależy od poziomu społeczno-cywilizacyjnego. A charakter przekazu (oralny lub pisemny, książka bądź tekst radiowy czy telewizyjny itd.) rozstrzyga o sposobach recepcji. Inaczej więc kształtuje się sytuacja komunikacyjna, kiedy czyta się samemu i kiedy w kolektywie, kiedy tekst jest rzadki i kiedy seryjnie produkowany, kiedy jego cena rynkowa jest bardzo wysoka (co go uniedostępnia albo trudno udostępnia) i kiedy odwrotnie, bardzo niska (co ułatwia masowe i natychmiastowe nabycie).

Mimo że określony obyczaj czy zgoła rytuał społeczny korzystania z literatury stanowi czynnik fundamentalny, tekst literacki winien być jednak rozpatrywany przede wszystkim jako komunikat w granicach systemu znakowego. Komunikat będący, jak już się rzekło za autorem, wtórnym systemem modelującym. Semiotyczne relacje — na gruncie wybranego wspólnego kodu — między owym systemem a współczesnymi mu innymi zjawiskami kulturowymi — pozwalają uwyraźnić prymat określonych praktyk społecznych i związanych z nimi paradygmatów. Składnia, semantyka i pragmatyka danego utworu (baśni średniowiecznej, romansu rycerskiego z w. XII—XIII, komedii Molierowskiej, agitki XX-wiecznej etc.) okazuje się tyleż właściwością immanentną, co kulturową czy ściślej — kulturowo-historyczną. Modele świata zawarte w literaturze funkcjonują bowiem *via* konkretna strategia wytwórcza, a nie wosownie, w ramach niezawisłej poetyki. Dlatego też obieg literatury (stosunku między nadawcą a odbiorcami poprzez dany zespół tekstów) jest zawsze obiegiem społecznym, uniezależnionym od przyjętych na najwyższym poziomie komunikacji artystycznej kryteriów estetycznych.

Obiegi te można i należy typologizować wedle różnych „estetyk”, wysokich i „nizinnnych”, profesjonalnych i popularnych czy zgoła brukowych. Teksty awansują tedy bądź bywają degradowane nie z racji ich charakterystyk wewnętrznych (czysto semiotycznych), lecz z racji ich odpowiedniego używania w konkretnych układach społeczno-historycznych. Historia ich nie jest w konsekwencji tego założenia historią stylów właściwych danej epoce, lecz stanowi raczej korelat przemian modelowania świata w taki a nie inny sposób. Tutaj ponownie docieramy do ideologicznych składników literatury. Nie występuje wprawdzie żadna jedno-

znaczna homologia między typami obiegu społecznego a danymi tekstami literackimi, niemniej określone poglądy na świat wpisane we wtórne systemy modelujące współdecydują o tym, jak przebiega ich aktualny odbiór oraz późniejsza recepcja. Kodowanie owych modeli zależy od postaw i oczekiwań danych grup odbiorczych. Na ogół wszakże w utrwalanych sytuacjach komunikacyjnych (literackich) wzorce zachowań czytelniczych przystają do strategii nadawczych zrealizowanych w określonym modelu świata. Zresztą i odchylenia od tych wzorców są ideologicznie (klasowo) nacechowane. Każdy system semiotyczny musi bowiem podlegać temu nacechowaniu ze względu na konkretną *praxis* historyczną; inna sprawa, że nie wszystkie jego elementy poddają się tego typu interpretacji (s. 200—206).

Czy można zatem traktować dany tekst jako dokument społeczno-historyczny? Niewątpliwie, jeśli przez wartość dokumentalną rozumie się opis rozmaitych składników świata oraz informacje o systemach wartości i postawach ludzkich. Niewątpliwie, jeśli dzieło ze względu na swój rodzaj i gatunek świadczy o repertuariach literackich danego czasu; wątpliwe zaś, jeśli przez dokumentalny zapis pojmujemy się zapis typowy, tak jak to tradycyjnie formułowali myśliciele marksistowscy, zwłaszcza zaś Lukács. Nie do przyjęcia jest, według Żółkiewskiego, formuła „zgodności z rzeczywistością”, skoro wszelka komunikacja literacka zapośredniczona jest instytucjonalnie. Pragmatyczny aspekt tekstu literackiego nakazuje tedy porzucić ideę jedyne, właściwego i kompetentnego odczytania na rzecz wielu możliwych, inaczej kompetentnych odczytań.

Literaturoznawcę w wersji kulturocentrycznej interesują właśnie rozmaitego typu lektury — od wyspecjalizowanych do nieuczonych; sytuacje komunikacyjne są tu studiowane w sprzężeniu zwrotnym nadawców i odbiorców uwikłanych czy to w sprzeczności strukturalne (np. kultura karnawałowa z jej modelem „świata na opak”), czy to wewnątrzklasowe o charakterze koniunkturalnym (teatralizacja parady wojskowej). Oba te przykłady, powtórzone za Bachtinem i Lotmanem, służą Żółkiewskiemu do wzmocnienia tezy, według której generowanie czy modyfikacja systemów znakowych ma źródło w danej praktyce historycznej. Słowem, wszelka analiza treści semiotycznych (a składają się na nie, przypomnijmy, wszystkie elementy danego tekstu, tzn. składniowe, semantyczne i pragmatyczne) ugruntowana być musi na uchwyceniu globalnych procesów kulturowych w ich konkretnej kontekstualnej realizacji. Dotyczy to również odbioru, który w świetle wywodów autora nie dotyczy przecież indywidualnej percepcji, lecz zbioru (czy zbiorów) określonych czytelników, którzy wyznaczają każdorazowo publiczność literacką. Tę, podobnie jak nadawcę zbiorowego, można i należy badać ze względu na jej strukturę klasową i zawodową, jej zróżnicowane typy w zależności od obiegu literatury oraz od ukształtowanych czy dopiero kształtujących się sytuacji komunikacyjnych. Ta właśnie całość odbiorców, która funkcjonuje we wszystkich obiegach i sytuacjach, jest publicznością literacką.

Nie da się natomiast wyróżnić żadnej swoistej „literackości” (s. 244—247). Tu czytamy m. in., że tekstowe realizacje wtórnych systemów modelujących na podstawie języka naturalnego nie są żadną *differentia specifica* literatury. Albowiem to nie zbiór niejednorodnych tekstów, ale właśnie publiczność jako fakt socjologiczny, tzn. takie a nie inne funkcjonowanie danych tekstów, wyodrębnia kulturę literacką. To, że niektórzy pisarze uznani są za profesjonalistów — ekspertów, nie wyklucza z kręgu badanych zjawisk producentów tekstów np. jarmarcznych i odpustowych albo jawnie i wyłącznie pornograficznych.

Obok publiczności złożonej z osób dorosłych uwzględnić należy jeszcze czytelnika szkolnego, a w ramach tego uczestnictwa niezbędne są dalsze różnicowania. Między rozmaitymi obiegami społecznymi literatury występują zazwyczaj napięcia

i kolizje; nic jednak, zdaniem autora, nie upoważnia do lekceważenia obiegów „nizinnych”. Dla kulturocentrycznego literaturoznawstwa znaczące są relacje między różnymi obiegami i cała ich złożona sieć, a nie normatywnie (elitarnie) wydzielony obieg wysokoartystyczny. Żadna jednak spośród owych różnopoziomowych sytuacji komunikacyjnych nie jest zależna wyłącznie od czynników pozatekstowych, często instytucjonalnych i obyczajowych. Autor uważa, że instytucje i nawyki społeczne raczej podtrzymują sygnały wewnątrztekstowe, a do wyjątkowych przypadków należą, sytuacyjnie wywołane, lektury odmienne, tzn. takie, które dany tekst z premedytacją aktualizują (s. 260—262). Nie świadczy to bynajmniej — raz jeszcze podkreśla Żółkiewski — iż funkcje społeczne tekstów literackich należałoby rozpatrywać wychodząc z analizy ich ekspresyjno-symbolicznej zawartości. Wręcz przeciwnie. Wiedza rzetelna o funkcjach danego tekstu oparta być musi na jego udziale w procesie komunikacji literackiej (s. 263—264). Oczywiście funkcję tę realizuje dany przekaz (przedmiot semiotyczny), ale jedynie w sprzężeniu zwrotnym tu oto z nadawcą zbiorowym i publicznością literacką.

4. Staralem się streścić wywody autora w sposób najbardziej adekwatny i zgodny z porządkiem jego rozumowania oraz z zaproponowaną przezeń hierarchią motywów. Pominąłem oczywiście jego egzemplifikacje oraz obfite wypady polemiczne. Wydaje się, że trzy szczególne walory charakteryzują tę pracę. Po pierwsze, oryginalna koncepcja kulturologiczna; po drugie, odmienność pytań i orientacji badawczej w literaturoznawstwie; po trzecie zaś — zasobność informacyjna i zmysł polemiczny stymulujące czytelnika do dodatkowych, własnych przemyśleń.

Oryginalność koncepcji Żółkiewskiego zasadza się na wysoce interesującym powiązaniu analizy społeczno-historycznej (w wydaniu marksistowskim) z analizą semiotyczną. Nie udało się to dotąd nikomu z badaczy uznających się za kontynuatorów myśli marksistowskiej w literaturoznawstwie. Koncepcja ekspresyjno-mimetyczna wydawała się i wydaje dotąd organicznym składnikiem marksistowskiej teorii kultury w ogóle i sztuki w szczególności. Semiotycy ze swej strony, spowinowaceni z szkołą strukturalistyczną, albo odżegnywali się od marksizmu, albo unikali jakiegokolwiek z nim mariażu. Nic w tym zresztą dziwnego, skoro historyczne przemiany procesów literackich wykraczały z założenia poza pole zainteresowań semiotycznych, a diachronia zajmowała ich jedynie ze względu na funkcjonowanie stabilnych systemów znakowych, w żadnym zaś razie ze względu na zmienną i owe systemy generującą *praxis* kulturowo-społeczną.

Wydaje się, że Żółkiewski obrał w badaniach literaturoznawczych tę samą drogę, którą w zakresie socjologii podążył przed nim Jürgen Habermas dokonując swoistej reinterpretacji materializmu historycznego. Mianowicie za podstawową mediację procesów społeczno-kulturowych przyjmuje się procesy komunikacyjne i związane z nimi określone praktyki. Wówczas zmienia się zarazem perspektywa badawcza w odniesieniu do literatury; ta nie „odbija” rzeczywistości zastanej ani też nie „wyraża” określonego stanowiska twórcy, który wobec owej rzeczywistości globalnie traktowanej zajmuje stanowisko pojednawcze, zbuntowane *etc.*, lecz funkcjonuje jako jedna z praktyk komunikacyjnych, współdziałających w budowaniu kultury *hic et nunc*. Żółkiewski poszedł przy tym z całkowitą, radykalną konsekwencją dalej niż Habermas, który nie degraduje wartości hermeneutycznych procedur ani też nie sądzi, aby mediacja indywidualna mogła być unieważniona czy zlekceważona w badaniach nad sztuką. Ponadto Żółkiewski radykalizował swoje stanowisko sięgając po semiotykę jako instrument badawczy, w jego mniemaniu równie zasadny w literaturoznawstwie jak marksistowska koncepcja *praxis*, choć tej ostatniej przypisuje prymat tyleż onto-społeczny, co metodologiczny. Semioza zastępuje w tym schemacie miejsce *mimesis* oraz indywidualnej transpozycji świata zastanego i przeżywanego w świat artystyczny. Między literaturą



a *praxis* społeczno-historyczną (z jej ideologiczno-klasowymi zmiennymi) pośredniczą systemy znakowe. Procesy dziejowe w dialektycznym styku z regułami komunikacji współtworzą kulturę, m. in. kulturę literacką.

Jest to koncepcja — powtórzmy — samodzielna, której nie stworzyli badacze ze szkoły z Tartu (Lotman podjął, jak wiadomo, taką próbę tylko w pierwszej swej książce), a jak najdalsi pozostali od niej badacze z ośrodka paryskiego. Najbliższy jest Żółkiewskiemu Bachtin; ten jednak z wiadomych przyczyn nie podjął teoretycznych refleksji nad metodologicznym uzgodnieniem założeń marksistowskiej teorii społeczeństwa wspólnie z założeniami semiotyki.

Drugi bezsporny walor recenzowanej książki polega na zasadniczej zmianie optyki badawczej. Zawsze tak bywało w dziejach nauki, że najbardziej płodne w wyniki okazywało się bądź zneutralizowanie, bądź odrzucenie dotychczasowych obowiązujących paradygmatów. Pytając o inne kwestie nie tylko wzbogaca się obszar penetracji, ale również pogłębia się samoświadomość badawczą, oraz korzysta się dotąd uzyskane osiągnięcia.

Otóż nie ulega żadnej wątpliwości, że Żółkiewski kontynuując studia Escarpita i innych pokrewnych mu myślicieli otworzył przed literaturoznawstwem nowe perspektywy i uruchomił nową wiedzę. Autonomicznie ukierunkowane studia nad literaturą i sztuką, traktujące *nb.* wirtualnie nie tylko odbiorcę, ale i twórcę (gdyż i ten wpisany jest w dzieło), gubią z pola widzenia pośrednie i wielorakie mechanizmy wiążące nadawcę z odbiorcami. Dla socjologii literatury wiedza o kulturze literackiej taka, jak ją postuluje autor, wydaje się nieodzownym punktem wyjścia i układem odniesienia. Pozwala ponadto lepiej wyjaśnić zjawisko nie tylko obiegu tekstów, ale również szczególną rolę, jaką pełni w tym procesie nadawca indywidualny — autor dzieła zapośredniczony przez drukarza, wydawcę, cenzora, dystrybutorów *etc.* Wreszcie — w tej perspektywie dzisiejsze przemiany cywilizacyjne zakotwiczone w komunikacji masowej nie sytuują się jako antypody produkcji literackiej; wręcz przeciwnie: wielorakość tej ostatniej, jej antynomie oraz kolizje wewnętrzne w ramach obiegów różnopoziomowych, można rzetelnie wytłumaczyć, odnosząc je właśnie do zjawiska tamtego, uchylającego priorytet artysty-eksperta czy kapłana wartości wysokoartystycznych.

Trzeci walor pracy Żółkiewskiego najlepiej sprawdzić wertując jej poszczególne stroniczki. Ile tu sprawozdań z ogromnej literatury przedmiotu, które uzupełnia jeszcze umieszczona na końcu bibliografia, licząca stronic 29! Nie zawsze autor analizuje przywołane dzieło czy prąd umysłowy w sposób całkowicie sprawiedliwy, ale również wówczas, kiedy w pasji dyskusyjnej wycina z danej koncepcji to, co jest potrzebne dla podparcia własnych wywodów, zmusza czytelnika do sprobmatyzowania przyswojonej dotąd wiedzy. Fakt zaś, że obraca się wciąż na pograniczu aż trzech dyscyplin — kulturologii, semiotyki i socjologii literatury, i że we wszystkich trzech panuje sprawnie nad materiałem i zagadnieniami, inspirowane do szukania powiązań problemowych i metodologicznych między dziedzinami, wydawałoby się, żyjącymi całkiem oddzielnie. W tym też sensie jest to książka bardzo nowoczesna, pobudzająca do rozważań nad stanem badań w całej humanistyce, obcej i naszej.

5. Jakie są niedostatki tej pracy? Autor napisał ją w sposób tak zwięzły i lakoniczny, że w wielu jej fragmentach czytelnik nie obeznany z poruszonymi kwestiami, koncepcjami i badaczami, do których Żółkiewski wciąż się odwołuje, z trudem zdoła nadążyć za jego myślą. Wydaje się, że książka ta zakłada niejako znajomość poprzednich prac autora, w których szczegółowo przedstawione zostały główne wątki teoretyczne *Wiedzy o kulturze literackiej*, a w znanej i jakże cennej monografii o polskiej kulturze literackiej z lat 1918—1932 zostały sprawdzone historycznie.

Nieprzekonujący wydaje się układ materiału, chociaż logice kompozycji owej książki nic zarzucić nie można. Punktem kulminacyjnym pracy jest problematyka

odbioru z punktu widzenia komunikacji literackiej, ale już w rozdziale o przedmiocie semiotycznym spore partie (s. 168—176, 185—196, 214—230) w istocie rozważają kwestię nie tyle systemu znakowego, co posługiwania się nim ze względu na określoną praktykę społeczną. Z kolei zaś w rozdziale ostatnim, we fragmencie o publiczności literackiej (s. 257—261), mówi się głównie o nadawcy. Autor mógłby replikować, że z racji sprzężenia zwrotnego niepodobna nadawcy, przedmiotu i odbioru sztywno i ostro oddzielić od siebie, zwłaszcza kiedy omawia się pragmatyczny aspekt danego tekstu. Zgoda, że wątki owe w tym ujęciu, jakie tu zaproponowano, zachodzą na siebie, ale wskazane przeze mnie fragmenty stanowią wyraźne wtręty w wywodach i można je było bądź indziej umieścić, bądź tylko zasygnalizować „osmotyczny” charakter odbiorcy i nadawcy, kiedy mówi się o przedmiocie semiotycznym. Pewne niejasności (być może, natury terminologicznej bardziej niż merytorycznej) powodują, że czytelnik albo skłonny będzie zakwestionować niektóre twierdzenia Żółkiewskiego, albo opatrzy je znakami zapytania.

Na s. 20—28, kiedy autor po raz pierwszy ostro przeciwstawia system symboliczny i system znakowy, pojawia się m. in. argument, iż dowolność pierwszego jest zakorzeniona w indywidualnym odczytywaniu nadmiarowych sensów. Jednocześnie, jak najślusniej, szczególnie w odniesieniu do Cassirera i Junga — powiada się, że badacze ci mają na uwadze ekspresje zbiorowe. Jakoż mówić o archetypach czy toposach byłoby bezsensowne, gdyby ekspresja symboliczna nie podlegała określonej rytualizacji i, co więcej, utradycjonieniu, które to zjawisko akcentuje współczesna hermeneutyka (Gadamer, Ricoeur). Wynika stąd wszelako, że konwencje przysługują również systemom symbolicznym, że i tutaj funkcjonują kody odczytań, słowem, że arbitralność interpretacji jest ograniczona. Nic też nie zmienia symboliczno-ekspresyjnego charakteru poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, jeśli śpiewana jest przez Ewę Demarczyk w odpowiedniej aranżacji. To żaden argument przeciw zwalczanej przez autora koncepcji hermeneutycznej; co najwyżej propozycja odejścia od ekspresji pojmowanej wyłącznie w jej wersji pierwotnej, oryginalnej czy unikatowej.

Funkcja rzeczowa przedmiotu semiotycznego — kategoria w wywodach autora kluczowa — mieni się znaczeniami. Na s. 27 mówi się o realizacji samej praktyki kulturowej, na s. 44 w przypadku kostiumu akcent zostaje przesunięty na materialne właściwości przedmiotu, umożliwiające okrycie ciała, na s. 101—103 wyróżnikiem owej funkcji staje się dyfuzja określonych idei politycznych, a od s. 75 do 81 oraz od s. 109 do 123 analizuje się w granicach owej funkcji tyleż określony przekaznik, np. książkę albo manuskrypt, albo emisję telewizyjną tekstu, co dystrybucję, cenę rynkową i cenzurę. Wynikałoby z tych wielorakich określeń, że funkcją rzeczową jest wszystko, co wchodzi w grę jako materialne i społeczne podstawy komunikacji zwanej literacką. Tak też przyswoilem sobie wywody autora, ale nie ułatwił mi tego — raz rozszerzając, raz znów zważając ową kategorię.

Rozróżnienie typu i stylu kultury jest tak przekonujące i przydatne, że wielu badaczy, m. in. i ja, przyjęło tę dystynkcję i przyswoiło ją sobie. Kłopoty, jakie nasunęły się w lekturze najnowszej książki (s. 29—40), dotyczą relacji typu i stylu kultury do funkcji semiotycznych i rzeczowych. Jeśli możliwości obróbki jakiegoś przedmiotu (np. siekiery) wyznaczają typ kultury, to ten winien być, podobnie jak i styl, analizowany przede wszystkim z uwagi na funkcję rzeczową. Tymczasem z innych rozważań autora wynika, że jedynie styl (wybory i hierarchie wartości) wyznaczany jest przez daną praktykę kulturową.

Na s. 80—82 pojęcie ideologii jako „ustrukturowanych treści świadomości społecznej, szczególnie podających się zróżnicowaniom klasowym”, występujących zawsze w postaci tekstów, i to rozmaitego rodzaju (słownych, ikonicznych, rytual-

no-ceremonialnych etc.), jest szerokie. Na s. 201—203 ideologia sformułowana jest w sposób węższy, jako wyartykułowany pogląd na świat, domyślnie pojawiający się tylko w postaci słownej. Te wahania nie pozostają bez konsekwencji dla niektórych ważkich refleksji autora — zwłaszcza kiedy próbuje on wyanalizować ideologiczny sens tzw. wielkiej metafory.

6. Są to, jak widać, uszczerbki drobne, a poza tym zasadna byłaby odpowiedź autora, że krytyk — popuszczając wodzów nie najlepszym skłonnościom ludzkim — szuka dziury w całym. Dotąd wszakże pozostałem w kręgu myśli Żółkiewskiego, idąc po ścieżkach przezeń wytyczonych i nie wychylając się poza opłotki przezeń ustawione. Na zakończenie chcę opuścić jego obszar badawczy i spojrzeć nań z zewnątrz. Z tej perspektywy cztery zastrzeżenia zmuszony jestem wysunąć przeciw zaproponowanej przezeń koncepcji: a) jego marksistowsko-semiotyczne stanowisko nie wydaje mi się na tyle przekonujące, aby zdołało usunąć bolączki i nieomówione dotychczasowych praktyk badawczych, tyleż marksistowskich, co i semiotycznych; b) literaturoznawstwo kulturocentryczne nie wydaje mi się na tyle mocne i sprawne, by mogło zastąpić strategię badawczą przez autora krytykowaną; c) pojęcie literackości wyrzucone za burtę — wraca jak bumerang, a więc zapewne nie da się go zastąpić wraz z całym, jakoby anachronicznym, bagażem literaturoznawczym; d) sposób ujęcia kultury i cywilizacji, jaki „implikuje” ta praca, jest wprawdzie bardzo na czasie, ale wydaje mi się ryzykowny. Oto zaś moje wątpliwości i kontrargumenty:

Ad a. Jeśli wszystko, co jest częścią kultury, znaczy i partycypuje w procesie komunikacji skryzalizowanym w systemach znakowych, ich regułach, kodach etc., to mechanizmom tym podlega również ideologia. Należałoby zatem dokonać radykalnej semiotyzacji tekstów ideologicznych, stanowiących główny trzon praktyk kulturowych (m. in. literackich). Autor jednakże poszedł w kierunku przeciwnym — ideologizacji procesów semiotycznych czy ściślej: systemów znakowych, przypisując priorytet temu, co nazwał funkcją rzeczową, społecznie i historycznie ukonkretnioną oraz stanowiącą dynamiczny czynnik sytuacji komunikacyjnych. Rozwiązanie takie wydaje mi się całkowicie przekonujące, ale też autor nie wyciąga zeń ostatecznych konsekwencji, zakładając zarazem, że osiąga precyzję analizy dzięki wprowadzeniu problematyki semiozy i skazaniu na banicję ekspresyjno-mimetycznej koncepcji dzieła literackiego.

W istocie jednak Żółkiewski zrezygnowawszy, jak najśluszniej, z językopodobnego modelu systemów znakowych (a więc z lingwistyki jako miary ścisłości badawczej), z kolei zaś uhistoryczniając — znowu jak najtrafniej — refleksję nad procesami komunikacji literackiej, wreszcie prowadząc wywody tak, że przedmiot semiotyczny staje się jedynie ogniwem w całości znacznie bardziej złożonej, której jądrem zasadniczym są strategie nadawczo-odbiorcze, ugruntowane na określonej *praxis* kulturowej — osłabia z konieczności precyzyjność swych założeń i konkluzji.

W istocie jego wszystkie rozważania o ideologicznych (klasowo nacechowanych) właściwościach literatury niewiele różnią się od tego, co dotąd zwykli byli proponować najroztropniejsi przedstawiciele ekspresyjno-mimetycznej orientacji. To, że dany typ kompozycji czy w ogóle model danej poetyki (s. 206) nie jest redukwalny do określonego stanowiska klasowego i światopoglądowego, da się znakomicie uzasadnić poza założeniami przyjętymi przez koncepcję marksistowsko-semiotyczną. Z kolei zaś dzieło literackie, będąc — jak sam autor przyznaje — realizacją określonych systemów semiotycznych, nie traci cech dokumentu społeczno-historycznego. Cały problem w tym, jak ową dokumentalność rozumieć. Żółkiewski atakuje interpretację dokumentu jako oznaki (ślądu) danej zbiorowości w danym czasoprzestrzennym kontekście. Czy jednak zapośredniczenie *via* kon-

wencji gatunkowe, a także *via* określone kody nadawcze i sytuacje komunikacyjne uchyla relację danego tekstu literackiego do rzeczywistości społeczno-historycznej?

Jeśli Żółkiewski powiada, że z dzieła czerpiemy informacje o wartościach i postawach ludzkich funkcjonujących w danym układzie kulturowym, tam oto i wówczas (s. 209), to w gruncie rzeczy inaczej tylko formułuje tę samą tezę, którą głoszą — przekształcając założenia Hegla i Diltheya — zwolennicy ekspresyjno-mimetycznych charakterystyk każdego zjawiska literackiego. Żółkiewski oburzy się na mnie w tym miejscu i wskaże, iż wyraźnie podkreślił zawisłość tzw. typowego ujęcia rzeczywistości od uprzedniej wiedzy o danym społeczeństwie, a zatem zakładana przezeń sprawdzalność wywodów i interpretacji jest natury empiryczno-socjologicznej, podczas gdy np. Lukácsowskie analizy są czystym domysłem. Na takie argumenty odrzekłbym, co następuje: niepodobna przypuścić, iżby analizy typu Lukácsowskiego obywateli się bez jakiegokolwiek uprzedniej wiedzy o danej formacji czy jej wycinku czasowo-przestrzennym. To, że odczytanie tekstu odbywa się poprzez strukturę artystyczną (z substrukturą światopoglądową w niej uchwytną), jest procederem paralelnym do tego zabiegu, jakim jest rekonstrukcja tzw. wtórnego systemu modelującego.

Prawda, że badając procesy komunikacji społecznej, a więc rzeczywiste sytuacje nadawcze i odbiorcze, Żółkiewski uzyskuje większy stopień sprawdzalności niżli literaturoznawca nastawiony ergocentrycznie. Jest to więc stopień ścisłości badawczej, który zaiste odróżnia empirycznie ukierunkowaną socjologię kultury od filozoficznie ukierunkowanych badań socjologiczno-literackich. Ponieważ jednak Żółkiewskiego interesuje również sam przedmiot semiotyczny (wraz z jego warstwą semantyczną) i ponieważ w granicach jego interpretacji ideologiczny (klasowy) współczynnik danego tekstu literackiego jest nie do pominięcia, „tylnymi drzwiami” powraca problematyka ekspresyjno-mimetyczna i w konsekwencji ścisłość analizy zostaje zachwiana. -Nb. nie dostrzegam w tym nic groźnego — przychylam się bowiem do starej Arystotelesowskiej dewizy z *Etyki Nikomachejskiej*, według której nie każdy przedmiot badań zezwala na tę samą ścisłość badawczą. Groźne są raczej złudzenia, iż literaturoznawstwo winno i może być w pełni weryfikowalną dyscypliną naukową.

Ad b: Pisałem już o korzyściach wynikających ze strategii analityczno-interpretacyjnej, jaką zaproponował i zezemplifikował Żółkiewski. Co innego jednak owe korzyści, co innego jednostronność rozstrzygnięć przebijających ze wszystkich wywodów. Absurdem byłby zarzut, iż autor komukolwiek zabrania zajmować się czymś innym niż kulturocentrycznym literaturoznawstwem. Prawdą jest natomiast, że w tej książce — być może, iż z racji zwięzłości wykładu i pasji polemicznej — inne stanowiska kulturologiczne i literaturoznawcze przedstawione zostały jako mało owocne czy zgoła prowadzące na manowce. W pracach z ostatnich lat Żółkiewski tolerancyjnie podkreślał, że ergocentryczne literaturoznawstwo zajmuje się po prostu innym przedmiotem badania, że np. estetyka ma po prostu inne pole zainteresowań, co wiodło do roztropnego domysłu, iż różne strategie badawcze raczej uzupełniają się, niż się wzajem uchylają. Tutaj zaś przeważa orientacja związana z *ecclesia militans*, tak więc inne stanowiska wydają się skazane na klęskę. Moje zastrzeżenia w tej materii — powtarzam — w niczym nie utracają wagi i znaczenia zaproponowanych przez autora rozwiązań, wskazujących na nowe lądy do spenetrowania, lądy zaiste dotąd nieznanne, bądź zaniebane przez badaczy.

Ad c: Kolejna wątpliwość łączy się najściślej z poprzednią. Do kwestii tzw. literackości, jak relacjonowałem, Żółkiewski powraca kilkakrotnie. O jego rzetelności badawczej i ostrości widzenia problematyki świadczy najdobitniej fakt, że kwestii tej nie lekceważy ani też jej nie próbuje zlikwidować. Czy udało mu się

jednak z tym arcytrudnym zagadnieniem uporać? Rozumowanie w tej materii zaczyna się od tezy o braku własnego specyficznego systemu literatury. Na s. 86 jako wstępne wyróżniki badanej dziedziny zjawisk kulturowych wymienia się: komunikację ideologiczną zawierającą określony model świata oraz taki system znaków z odpowiednimi funkcjami semiotycznymi i rzeczowymi, który może występować i poza literaturą. Na s. 236—245 autor propozycję tę uchyła, aby dojść w końcu do konkluzji, że nie ma żadnych swoistych tekstów literackich, jest jedynie swoista publiczność, która dane teksty (ich zbiory) traktuje, i to w niejednakowy sposób, jako literaturę.

Jest to koncepcja „literackości” ugruntowana na instytucjonalno-socjologicznych podstawach, mająca odpowiednik w nie znanej, zdaje się, Żółkiewskiemu, lansowanej obecnie w USA (A. Danto i G. Dickie) hipotezie, według której „estetyczność” — czy, ściślej formułując, funkcjonowanie idei „sztuki” — ma sens tylko w odniesieniu do konkretnych mechanizmów produkcji, reklamy sprzedaży i zakupu oraz krążenia określonych przedmiotów, których prestiż społeczny podtrzymują biblioteki, teatry, muzea, filharmonie, marszandzi, krytycy, szkoły artystyczne *etc.* Słowem, cały konkretny w danym kontekście *art world*. Hipoteza ta spotkała się z zasłużoną, wielostronną, bardzo krytyczną dyskusją.

Otóż Żółkiewski zdaje się mieć pełne wyczucie słabości takiego stanowiska. Świadczą o tym jego wahania nawet na tych stronicach, kiedy wyostrza i ujednoznacznia swoją koncepcję. Mianowicie na s. 244 przyznaje (odwołując się do Jakobsonowskiej „nadorganizowanej wypowiedzi”), że o swoistości literackich tekstów świadczy nastawienie autoteliczne. Na s. 267—268 autor nie neguje zasadności kategorii tragizmu oraz wyróżniając funkcje stałe i zmienne danych modeli literatury pierwsze z nich wyraźnie wiąże z właściwościami przedmiotu semiotycznego, a więc — jak należy mniemać — ze swoistymi cechami charakterystycznymi dla tekstów literackich. Na s. 126 — mówiąc językiem Żółkiewskiego — aspekt idiolektyczny indywidualnej inicjatywy nadawczej jest w pełni respektowany, a na s. 149—150, w niezbyt zresztą jasnej artykulacji, pojawia się sprzeczna wewnętrznie myśl, że każdy ambitny twórca jest nowatorem, gdyż potrafi przewidzieć procesy ujawniające się zaledwie załążkowo, i zarazem — że innowacyjna sytuacja komunikacyjna determinuje ściśle każdą innowację artystyczną.

Wahania i oscylacje w refleksjach autora wydają mi się znamienne i wcale płodne. Jakoż niepodobna odpowiedzieć na pytanie, co wiąże ze sobą rozmaite publiczności i rozmaite grupy tekstów, jeśli „literackość” miałyby być jedynie czystą wypadkową określonych tu oto mechanizmów zbiorowego nadawania i odbioru. Niepodobna również z tej perspektywy wyjaśnić szczególnej — i to nie tylko w granicach kultury europejskiej — roli pisarzy-„ekspertów”, jak ich nazywa Żółkiewski, ani też w pełni uzasadnionego traktowania literatury wysokiego obiegu jako podstawowego układu odniesienia oraz miary dla innych obiegów. Nie sposób wytłumaczyć, dlaczego w epokach poprzednich np. gatunek był wyznacznikiem literackości i określał w ogóle zasięg i stopień kultury literackiej. Niepodobna w końcu — przy instytucjonalno-publicznościowym założeniu jako kryterium ostatecznym — zadać sensowne pytanie, jakie to cechy literackości i w jakiej, zdeformowanej czy skurczonej, postaci (np. fikcyjność czy nawet nastawienie na samą wypowiedź) utrzymują się w produkcji brukowej, jarmarcznej, agitacyjno-propagandowej, pornograficznej *etc.* Myślę tedy, że jedyną konsekwencją stanowiska, które zajął Żółkiewski formułując tezę o nieistnieniu swoistych tekstów literackich, byłaby w ogóle rezygnacja z pojęcia... literatury. Byłaby to jednak konsekwencja chyba fatalna. W żaden też sposób nie opłaca się ona z punktu widzenia strategii badawczej autora, który właśnie w ramach kulturocentrycznych studiów literatury mógłby dokładniej i głębiej niż dotąd wyświecić ukształtowanie się i perypetie kategorii literackości, jej miejsce w wyso-

kim obiegu, jej promieniowanie na inne obiegi i jej współczesne antynomie. Trzeba by jednak wówczas inaczej, tzn. jako częściowego sojusznika, potraktować ergocentryczne literaturoznawstwo.

Ad d. Żółkiewski ani przez chwilę nie ukrywa, że dzisiejsze przeobrażenia cywilizacyjno-kulturowe, zwłaszcza zaś rewolucja w zakresie informacji i procesów komunikacyjnych (*mass-media*, wielorakość przekazników, ich symbioza, wielowarstwowość produkcji dóbr kulturowych, pluralizm „estetyk”), były jednym z głównych bodźców reorientacji, jaką proponuje w literaturoznawstwie.

Pozostają z całkowitym zrozumieniem i szacunkiem dla tej nowej strategii badawczej, ale zraża mnie do niej absolutyzacja tego, co na naszych oczach zachodzi jako zjawisko dominujące. Na s. 145—150 Żółkiewski streszczając swoje podejście badawcze i broniąc bezspornej mocy swoich hipotez — wykląda w istocie koncepcję anonimowej twórczości, uzależnionej całkowicie od procesów kulturowych (komunikacyjnych), ufundowanych na danej *praxis* społecznej. Mnie wydaje się, że to koncepcja tyleż bez rzeczowego pokrycia, co nader ryzykowna. Bez rzeczowego pokrycia, gdyż mediacje indywidualne w świecie sztuki nie są bynajmniej fenomenem anachronicznym. Wręcz przeciwnie, im bardziej cywilizacja z tych czy innych względów uniformizuje się i homogenizuje, tym silniejszy jest opór indywidualności twórczych oraz nośność i ważność społeczna ich wizji oraz ich wyzwania wobec *status quo*. Jest to *nb.* fakt łatwy do zaobserwowania zarówno poza granicami Polski, jak i u nas.

Ponadto — gdyby nawet owe rzekomo anachroniczno-romantyczne postawy i realizacje były w zaniku czy odwrocie, jako badacz dzisiejszej kultury rad bym uczynić wszystko, co możliwe, aby je uratować i ożywić. Jeśli bowiem cokolwiek nam grozi tyleż w literaturze, co literaturoznawstwie, to nie croceanizm czy diltheizm, które to koncepcje nietrudno dzisiaj skorygować oraz wyłuskać z nich racjonalne jądro, ale właśnie produkcja automatyczna, bezimienna, systemowo zorganizowana, łatwo odcyfrowywalna przy pomocy panujących kodów. Nie twierdzę wcale, że od kulturocentrycznego literaturoznawstwa blisko do społeczeństwa-terminiery. Twierdzą jedynie, że na szczęście kultura dzisiejsza nadal utrzymuje korzystny stan napięcia między twórczością na wskroś indywidualną a produkcją seryjno-masową oraz że unieważnienie pierwszego z tych dwu członów musi przynieść niepowetowane szkody zarówno życiu społecznemu, jak i egzystencji każdej jednostki, zarówno samej sztuce, jak i myśleniu o niej.

Zdaję sobie sprawę, że Żółkiewski i jego sojusznicy mogą mnie potraktować jako uciążliwego i zgoła zbytecznego rozjemcę w sporze między kulturocentrycznym a tradycyjnym rozumieniem literatury. Nie wykluczone jednak, że moje kontrargumenty skłonią autora do ponownego opracowania i zmodyfikowania jego założeń. Miałbym wówczas poczucie, że moja lektura recenzowanej książki była czymś więcej niż spotkaniem dwu odmiennych perspektyw humanistycznych. Wypada mi w każdym razie jeszcze raz powtórzyć na zakończenie, że cała twórczość naukowa Żółkiewskiego jest zjawiskiem szczególnej wagi w naszej humanistyce i że znaczenie jej wykracza poza polskie badania nad literaturą, choćby z tego względu, że autor podejmuje samodzielną analizę podstawowych zagadnień współczesnej kultury i dzisiejszego literaturoznawstwa, zajmując na mapie aktualnych osiągnięć w tej dziedzinie badań pozycję własną, ze wszech miar pobudzającą do dalszych pytań i dalszych prób odpowiedzi. Nic zatem zaskakującego w mych polemicznych roztrząsaniach ani też nic bardziej naturalnego jak wpływ Żółkiewskiego na licznych młodych naukowców i coraz częstsze konstatacje o istnieniu jego „szkoły”, w której nauczyciel i uczniowie wzajem się wzbogacają oraz dynamizują naszą wiedzę o kulturze literackiej.

Stefan Morawski